

Początki*

Kiedy się to zaczęło? Jest wiele początków, wiele spotkań, które doprowadziły do założenia Niemiecko - Polskiego Towarzystwa Zdrowia Psychicznego. Są osoby, które były ważnymi katalizatorami, które spalały się, które się spełniały, które życzyły sobie wzajemnej bliskości i refleksji na temat historii rozważanej z perspektywy każdej z nich. Najważniejszymi dla późniejszej skali zaangażowania wielu osób były podróże, inicjowane przez Fryderyka Leidingera, a przez polskich kolegów nie bez słuszności określane wkrótce mianem „pielgrzymek” pokutnych. Zarówno te podróże, jak i będące ich rezultatem partnerstwa znajdowały oparcie w deputowanych do Ogólnokrajowego Zgromadzenia Związku Krajowego Westfalen – Lippe oraz w jego dyrektorze, Herbercie Neseckerze.

Chcemy tu zaprezentować niewielkie fragmenty artykułów, rozważań, przemówień z dwóch podróży kierowanych przez Fryderyka Leidingera (1987) oraz przez Detlefa Klotza (1989). Dokumenty te bardzo trafnie odzwierciedlają nastroje i motywy naszych pierwszych spotkań.

„Przegląd Tygodniowy” nr 30/1987

(Relacja dziennikarki – Ewa Owsiany, która towarzyszyła niemieckiej grupie pracowników psychiatrii zwiedzających Kraków. Grupa ta podróżowała śladami transportów i zagłady pacjentów niemieckich do Kraju Warty, do Generalnej Guberni i do Polski.)

Łaska późnych narodzin

Jeżeli zaczniemy dzielić ludzi na mocnych i na słabych, to może się zdarzyć, że ten mocny będzie chciał zniszczyć tego słabego.

Zakonnica gra z pacjentem w szachy.

Dziewczyna szuka wzrokiem możliwości ucieczki. Starszy mężczyzna wykrzywia twarz w grymasie. Pielęgniarki dmuchają na gorącą herbatę i radzą, żeby nie iść dalej:

- tam wszystko jest pełne Niemców.
- Niemcy?

• U nas zaczęło się to w 1939 roku. Ale znacznie wcześniej, w Lipsku, dwaj znani profesorowie, Karl Binding i psychiatra Alfred Hoche, zażądali „Prawa do zabijania życia niegodnego istnienia”. Długo dyskutowano nad tym, co zrobić z tymi masami nieuleczalnie chorych i wszyscy zgodzili się, że należy ich gdzieś internować albo przynajmniej sterylizować. Ton tej dyskusji był bardzo radykalny.

Ten brodacz mówi po polsku.

Nazywa się Friedrich Leidinger.

Jest psychiatrą w szpitalu w Gütersloh. Przed laty ożenił się z Polką, często tu przyjeżdża, tym razem przywiózł do krakowskiej Kliniki Psychiatrii grupę 27 lekarzy, pielęgniarek, psychologów i pracowników socjalnych z RFN.

Ze swojego portretu patrzy na nas Antoni Kępiński. Leidinger mówi dalej:

• 14 czerwca 1933 roku uchwalono ustawę o przymusowej sterylizacji, której pragmatyczny charakter pozwalał na uwolnienie narodu od jego niezdolnych do pracy członków. Z początkiem 1934 roku rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę akcja sterylizacji osób chorych psychicznie, tak zwanych asocjalnych,

oraz tych, którzy wyglądem różnili się od typu nordyckiego, np. potomków Marokańczyków z terenów niemiecko-francuskich. Propaganda zawiąta także do szkół, gdzie wprowadzono dodatkowe lekcje biologii na temat genetyki. Równocześnie pacjentom szpitali psychiatrycznych zmniejszono racje żywnościowe o połowę.

W sali półgłośne rozmowy, wymiana adresów, witanie się. Właśnie wszedł gospodarz kliniki, prof. Adam Szymusik; miejsca przy stole zajmują krakowscy profesorowie: Józef Bogusz, Maria Susułowska.

Dr Leidinger wprowadza mnie cierpliwie w temat:

- Stąd był już tylko krok do usankcjonowania eutanazji. Ta nazwa – dobra, łaskawa śmierć, śmierć zadana ze współczucia – nie odda całej grozy tego planu. Powinno się mówić raczej o „tanazji – zagładzie”. Powstały organizacje, które miały wprowadzać tę ustawę w życie, występujące oczywiście pod maską „Instytucji użyteczności publicznej”. Sztab akcji został umieszczony w Berlinie, przy Tiergartenstraße 4, skąd wziął się kryptonim akcji – T4.

Krótką przerwą dla nabrania oddechu.

Skrzypienie drzwi, szuranie krzesel, prawie wszyscy wrócili już do sali, także dziennikarz z Kolonii, który kocha Jimiego Hendrixa i który tak chętnie poszedłby w Krakowie na Jazz-Session.

- Już w październiku 1939 roku – kontynuuje dr Leidinger – przyboczny lekarz Hitlera otrzymuje prawo do decydowania o eutanazji w przypadku osób nieuleczalnie chorych. Rozkaz nosi wsteczną datę z 1 września. Tak więc początek wojny przeciwko chorym psychicznie zbiega się z początkiem napaści na Polskę. Uważamy to za symbol, co obecny tu prof. Klaus Dörner podkreślił w swojej książce.

Siedzi obok mnie po prawej stronie.

Syn członka NSDAP. Z bliska widzę jego kręconą czuprynę, bladoniebieskie oczy, usta wykrzywione lekkim grymasem zganionego dziecka. Nie narzuca się, mówi cicho, bezdźwięcznie. Często przeciera dłońią twarz i ten gest – jakby chciał zetrzeć kurz. Skończył 33 lata. Należał do Hitlerjugend. Cierpiał z powodu wyroku Trybunału Norymberskiego, skazującego bohaterów jego ojca. Mówił o tym sam na sympozjum w Krakowie. Jeszcze

przed dwoma laty nie czuł się zdolny do podróży tutaj. Nie miał odwagi. Ciągłe jeszcze wyrzuca sobie, że w końcu wcześniej, dużo wcześniej mógł być żądać skazania tych lekarzy, którzy swoich pacjentów wydali na śmierć. Czuje, że odziedziczył swoją winę.

Profesor Dörner napisał kilka ważnych książek, m.in. „Krieg gegen die psychisch Kranken” („Wojna przeciwko chorym psychicznie”), „Irren ist menschlich” („Błądzenie/ Szaleństwo jest rzeczą ludzką”), „Freispruch der Familie” („Uniewinnienie rodziny”). Z zamiarem pokazania, do czego psychiatria była zdolna, organizował poświęcone temu zagadnieniu konferencje i wystawy.

W 1982 roku wydał niemieckie tłumaczenie pracy profesora Zdzisława Jaroszewskiego na temat zagłady chorych w Polsce. Jest współzałożycielem Towarzystwa Psychiatrii Socjalnej (Gesellschaft für Soziale Psychiatrie), zajmującego się pacjentami chronicznymi, a więc osobami predystynowanymi na ofiary akcji „T4”. I ciągle jeszcze myśli o tym, że za mało zrobił. Obawia się tkwiącej w nim i w nas wszystkich gotowości do usuwania ze społeczeństwa ludzi, którzy są inni, do eliminowania ich: chorych, słabych.

- Naziści – mówi – także nie chcieli mieć z nimi nic wspólnego. Jakże krucha jest granica pomiędzy tą instynktowną obroną człowieka a mordowaniem – profesor Dörner przeciąga dłońią po twarzy.

Jego asystent z Gütersloh patrzy przeze mnie na wylot, jak przez szklaną ścianę, jak gdyby za nią dostrzegał jedynie ciąg obrazów i zdarzeń.

- Mówiłem Państwu o sztabie z ulicy Tiergartenstrasse. Tam wędrowały formularze z uwagami na temat ewentualnej zdolności do pracy pacjentów, a kartoteka centralna podejmowała decyzję, co ma się dalej z nimi dzieć – wolno im jeszcze żyć, czy pojedą na śmierć do przewidzianych do tego celu „zakładów leczniczych” w Hadamar koło Limburga, w Warcie czy Międzyrzeczu. Gdy pracowałem z dr Mathiasem Leipertem w szpitalu w Langenfeld, znalazłem w archiwum akta młodego człowieka, który w czysto faszystowskim stylu nazywany był zwierzęciem, bydłem, idiotą. Okazało się, że ten pacjent był w Międzyrzeczu! Wcześniej nie przywiązywałem do tego faktu większego znaczenia, teraz, po lekturze Ernsta Klee z Frankfurtu (miał z nami przyje-

chać, ale zmarła jego matka) wiem: ten człowiek przeżył piekło.

- Ile osób zostało poddanych eutanazji? – pytam szeptem, ponieważ docent Jacek Bomba otworzył posiedzenie i głośniej – jak stwierdził – nie może mówić.

- Szacuje się, że do 24 sierpnia 1941 roku przy pomocy gazu uśmiercono 70 000 ludzi. Później, m.in. na skutek protestów Kościoła Katolickiego, akcję tę przeprowadzano ciszej, by w końcu przekształcić ją w drugą fazę, w tzw. „dziką eutanazję”, która przyniosła przynajmniej 200 000 ofiar. Bezpośrednio przed zagazowaniem chorzy poddawani byli badaniom lekarskim.

- Tu, w Polsce, nie zadawano sobie tyle trudu. Czy chodziło o pretekst?

- Tak, o pretekst do wydawania aktów zgonu: śmierć następowała w komorze gazowej lub na skutek zastrzyku ze śmiertelną dawką trucizny. Wszystko przebiegało sprawnie i bezproblemowo. W Hadamar ordynator wraz z pielęgniarką i siostrą oddziałową decydowali rano o tym, kto danego dnia ma umrzeć. Następnie miejscowa apteka dostarczała przepisaną na recepcie truciznę, a potem wypełniano fikcyjne akty zgonu. Te trzeba było w końcu dać do uwierzytelnienia burmistrzowi i wysłać stosowne zawiadomienia. W zasadzie dużo zachodu, żeby wszystko starannie zamaskować.

- Ale czasem dochodziło jednak do jakiegoś przecieku. Nie bezpodstawnie na konferencji prasowej, która odbyła się w kwietniu 1941 roku we Frankfurcie nad Menem, redaktorem naczelnym gazet zwrócono uwagę na to, że nekrologi ukazujące się w gazetach w niektórych regionach zawierają treści, „których w przyszłości nie będzie się już dłużej akceptować”.

- Tak. I tak to przybierało na sile, praktycznie bez oporu. Niektóre osoby, które zasłużyły się w akcji „T4”, zrobiły później karierę w charakterze katów w obozach zagłady, np. Franz Stangl w Treblince.

Ktoś powiedział, że po Auschwitz nie można napisać już ani linijki. Ja sam też czuję się czasami niemy. Byliśmy np. w Warcie, gdzie w celu opróżnienia szpitala i przekazania go dla innych celów, zagazowanych zostało 499 pacjentów. Pojechalśmy tą samą drogą, która zawiodła ich ku śmierci. Chcieliśmy jakoś z nimi być, wejść razem z nimi w tę śmierć.

Po raz pierwszy Fryderyk Leidinger pojechał do Polski w 1975 roku. Zaprosiła go studentka z Warszawy. Nie mówił ani słowa po polsku, a ona nie mówiła wtedy ani słowa po niemiecku. Jej ojciec był więźniem Pawiaka i KZ Stutthof.

- Rozmawialiśmy po francusku, i myślałem, że będzie dla mnie lepiej, gdy ludzie będą uważali mnie za Francuza.

- Pewnej niedzieli pojechali do Auschwitz, gdzie podczas zwiedzania obozu ktoś do niego podszedł i zapytał: „Sprechen Sie Deutsch” – „Czy mówi pan po niemiecku?” „Tak” – odparł zaskoczony. „W takim razie chcę panu coś pokazać” – zawołał ten mężczyzna, jak się później okazało, syn byłego więźnia obozu. I zaprowadził go do Birkenau i – o dziwo – nie było w nim nienawiści.

Dzięki temu przeżyciu Fryderyk Leidinger zrozumiał, że może podróżować do Polski jako Niemiec i już nigdy więcej nie bawił się w ukrywanie swojej narodowości. Wstąpił do Towarzystwa Niemiecko-Polskiego, aby organizować np. takie spotkania, których mogą być świadkiem.

Ale co powiedzieć o towarzyszących mu osobach?

Zdaniem Andrzeja Cechnickiego, krakowskiego psychiatry, ci odpowiedzialni i głęboko myślący ludzie odważnie badają tę niepopularną prawdę i nie zawahali się wystąpić przeciwko własnym nauczycielom, którzy do tej pory byli ogólnie uznanymi autorytetami w dziedzinie medycyny. Np. bez wahania potępił prof. Carla Schneidera z Heidelbergu, który jako główny ideolog eutanazji opublikował w tym samym roku 500-stronicowe dzieło na temat leczenia chorych umysłowo.

Do tej pory nie napisano nic lepszego. Albo Viktor von Weizsäcker, wujek obecnego prezydenta Niemiec. W latach trzydziestych snuje rozważania na temat życia niegodnego istnienia, a we Wrocławiu wykorzystuje zamordowanych pacjentów do antropologicznych badań nad mózgiem. Albo wreszcie taka sława, jak Hans Bürger-Prinz. Nikt nie podejrzewałby go o sprzyjanie ideologii nazistowskiej, a przecież wydawał swoich pacjentów na śmierć.

Ich młodzi następcy raz do roku spotykają się w innym szpitalu, publikują dokumenty z tajnych archiwów, organizują szokujące w swej wymowie wystawy. Utrzymują kontakty z Instytutem Zachodnim w Poznaniu, Kliniką

Psychiatrii w Krakowie, z dyrektorem zakładów w Warcie, Międzyrzecz, Dziekance. Po raz pierwszy w powojennej historii publikują w Hamburgu dużą część „Zeszytów Oświęcimskich” Krakowskiej Gazety Lekarskiej. W końcu, chcąc uczcić pomordowanych i pokazać, po której stronie stoją, powzięli tę pielgrzymkę do miejsc zagłady. Teraz, siedząc przy wspólnym stole z byłymi więźniami Auschwitz, próbują 42 lata od zakończenia pierwszego powojennego kongresu polskich psychiatrów w Tworkach przedyskutować te same kwestie, którymi się wtedy zajmowano. Jaki był mechanizm zbrodni? Czy można było to przewidzieć? I w ogóle dlaczego było to możliwe?

Teolog Peter Fricke-Brille, z wąsami, szeroko gestykulujący, zbadał gruntownie historię zakładu w Bethel. Chciał wiedzieć, ile jest prawdy w opowieściach o godnym poszanowaniu pastora, który jakoby uratował chorych, zatrzymując kolumnę SS okrzykiem: „Tylko po moim trupie!”

Teologa interesowały przede wszystkim luki w historii szpitala, np. przemilczenie treści akt przechowywanych w gabinecie zarządu, zawierające informacje o 3000 pacjentów, którzy zostali tutaj poddani przymusowej sterylizacji, o rozmowach z komisją rządową, która w razie niewydania listy pacjentów groziła kierownictwu w 1941 roku „poważnymi konsekwencjami”...

- Co z tego wynika? – kończy teolog.
- Mogę pokazać to na przykładzie jednego z naszych pensjonariuszy, który mówi: „Jeżeli ktoś raz nauczył się milczeć, to nie potrafi przestać”.

Ale gdy się milczy o przeszłości, to w końcu traci się przyszłość, a tym samym prawo do modlitwy.

Peter Fricke był wzruszony, spocił się, zdjął sweter. Głos zabiera Christine Teller, lekarka, neurolog. Ona także jest poruszona podczas swojego wystąpienia. – Nie wiem, jak bym sama postąpiła w tych warunkach, ale świadomość uwikłania naszych poprzedników jest bolesna. Nie mieli nawet odwagi, żeby przyznać się do winy.

Ute Daub, socjolog z Frankfurtu, relacjonowała trwający całe lata proces przeciwko dwóm lekarzom odpowiedzialnym za wymordowanie kilku tysięcy chorych. Po wojnie obaj prowadzili prywatne praktyki ginekologiczne, żyli, nie kryjąc się i nie napotykając na jakiegokol-

wiek trudności. U niewinnienie ich świętowane było kwiatami i szampanem; w uzasadnieniu napisano, że w końcu chodziło jedynie o zabijanie osób, które nie miały ochoty do życia. Sprawa trafiła do ponownego rozpatrzenia, a Trybunał Federalny uznał, że stwierdzenie czyjeś chęci do życia nie wymaga wiedzy medycznej. Jeden z oskarżonych oświadczył: „Wysoki Sądzie, miałem prawo wierzyć, że wszystko, na co zezwalały partia i prawo, było dopuszczalne”.

Ale sala rozpraw była pusta.

Dzisiaj jest inaczej – mówi pani socjolog. Naprzeciwko oskarżonych nie siedzi pokolenie dzieci, lecz pokolenie wnuków i ich wzajemne relacje są zupełnie inne, co jest dla sądu pomocne. Przez wiele lat Niemcy próbowali rozprawić się z faszyzmem niczym z jakąś obcą sprawą, z czymś narzuconym z zewnątrz. Musiało minąć wiele czasu, żeby zrozumieli, że faszyzm miał swoich wrogów nie tylko poza granicami, lecz także we własnym kraju:

Starych, chorych, dzieci.

Bycie Żydem, Polakiem – to oznaczało dla niektórych śmierć. Bycie chorym – to kryterium zagłady mogło dotknąć każdego.

W nieco niezwykły sposób wyrażamy aplauz. Nie klaszczemy w dłonie, tylko stukamy knykciami o blat stołu.

Michael Wunder, psycholog z Hamburga, prosi o głos.

Jest zwolennikiem Partii Zielonych, jest młody, pracuje w dużym zakładzie dla osób niepełnosprawnych umysłowo. Interesują go głównie dzisiejsze skutki tego problemu, ponieważ kwestie sterylizacji i eutanazji znów zaczynają być problemem niemieckim i ponownie zaczyna się dyskutować sprawę odškodowań.

• Obserwujemy tendencje – mówi Michael – do dokonywania na nowo selekcji ofiar i do pozbawiania niektórych grup osób prawa do uzyskania odszkodowania, co oznacza, że spychamy te grupy na margines społeczeństwa. W niektórych kręgach znów pojawia się pomysł sterylizowania osób niezdolnych do wyrażania zgody, podnoszą się nawet głosy z żądaniem zapewnienia eutanazji dla osób cierpiących. Znalazł się nawet prawnik, który zapewnia, że ustawa z 1933 roku była prawem legalnym. I wreszcie – tutaj Wunder wyprostował się na krześle – spójrzmy trzeźwo na tricki prawników.

Prawo nazistowskie przewidywało, że osoby, które poddały się sterylizacji, miały być zwolnione z zakładu, do czego jednak nie dochodziło, a wiele z tych osób zostało później pozbawionych życia. W 1933 roku była też mowa o pewnych przepisach ochronnych, a później całkowicie pozbawiono je mocy prawnej: sterylizowano nawet dwu- i trzyletnie dziewczynki (które do dziś żyją w zakładzie w Hamburgu).

Ustawa przewidywała nawet prawo do sprzeciwu, które jednak nigdy nie zostało zastosowane. Trzeba przyjąć, że właśnie ta ustawa stała się pierwszym krokiem do masowych mordów – kontynuował mówca – że pod tym idyllicznym obrazem eutanazji jako śmierci wyzwalającej od cierpienia, skrywa się brutalne żądanie „usuwania z drogi” tych niezdolnych do produkcji wraków, a za tym rzekomym współczuciem (ludzie zawsze chowają się za wznioślejszymi motywami swojego działania) – egoistyczne pragnienie uchronienia własnego „ja” przed świadomością podobnego zagrożenia. Tak samo jak wtedy.

Sądźmy – Wunder świadomie używa liczby mnogiej – że naszym zadaniem jest przekonać ludzi o podobieństwie obu tych sposobów argumentacji. Jeżeli tego nie rozumieją, to stare prawo do zabijania powróci w przebraniu nowych słów.

Przytoczyłam z dyskusji tylko kilka słów. Jest tam profesor Bogusz. I profesor Susułowska z apelem o uznanie ważności i wartości każdego ludzkiego istnienia:

- Bo jak zaczniemy dzielić ludzi na mocnych i słabych, to zawsze może się zdarzyć, że ten mocny będzie chciał zniszczyć tego słabego.

Spotkanie dobiegło końca, ten czy ów z personelu kliniki pośpieszył do chorych, profesor Szymusik wstaje i dziękuje obecnym za ich otwartość.

- Sądzę, że o ponurych stronach historii narodu powinien przypominać właśnie ten naród. Wtedy nie będzie już powodu do tego, aby inni coś mu zarzucali. Oczywiście myśl ta dotyczy wszystkich narodów, także my mamy w naszej historii karty, o których wolelibyśmy nie pamiętać; jednak pod względem moralnym jest to zupełnie inna płaszczyzna.

Profesor cieszy się, że to spotkanie było w ogóle możliwe. W końcu u nas do niedawna byli Polacy, którzy wprawdzie znali język nie-

miecki, ale nie chcieli mówić w tym języku. A pewien były więzień Auschwitz, który we Frankfurcie trafił do szpitala, uciekł stamtąd, ponieważ na sąsiednim łóżku położono pacjenta w tym samym wieku co on: „To mógłby być były esesman”. Ale także i polska psychiatria musi goić swoje rany. Z 300 lekarzy neurologów wojnę przeżyło 90. Pamięć o tych, którzy stracili życie, zostanie uczczona podczas ogólnopolskiego kongresu psychiatrycznego, który – z udziałem kolegów z Niemiec – odbędzie się za dwa lata w Łodzi.

Stukają kłykciami o blat stołu. Głuche echo zgody.

Ale dzisiaj jadą do Kobierzyna. Te same alejki, po których oddziały SS przejeżdżają obok biura dyrektora zmierzają do jednego z pawilonów szpitalnych. Ale gdy już wymieniono poglądy na temat różnic i podobieństw w metodach leczenia, na temat braku pielęgniarzek i przeciętnego pobytu pacjentów w szpitalu (50 dni? za krótko – dziwi się profesor Dörner), nadchodzi chwila, dla której czarnowłosa żona Fryderyka nastawiła swoją kamerę telewizyjną.

Opowieść pielęgniarki, która jeszcze pamięta.

Nazywa się Janina Sroka.

Ma tremę niczym uczennica.

Najpierw mówi kilka słów o tym, jak tu było przed wojną.

A potem, ta okropna noc z 3 na 4 czerwca 1942 roku.

Szpital w Kobierzynie utrzymany był szczególnie porządnie; nawet Niemcy, wchodząc na teren szpitala, zwracali uwagę na kwiaty, czystość i piękno całego kompleksu. Były tu warsztaty szewskie i krawieckie, introligatornie i teatr, a nawet mała drukarnia. Pacjentki haftowały bieżniki, naszywały na lniane chusty kolorowe aplikacje i tkwały na potrzeby szpitala. Każdy musiał się czymś zajmować, nawet ktoś, kto w ogóle nie był zdolny do pracy, zajmował się workami z juty.

Tak więc wojna zaskoczyła ich wszystkich. Otwarte oddziały. Pacjenci rozchodzą się po alejkach parku. Wojsko polskie ucieka. Lekarze rozpierzchli się. Janina też chciałaby się udać w jakieś bezpieczne miejsce. Idzie do zakonnicy i prosi o prowiant na drogę. Słyszy: „Jeśli i ty opuścisz chorych, to stracę wiarę”.

A więc zostaje, biegnie na pagórek, skąd rozciąga się widok na Skotniki. Widzi nadcią-

gających żołnierzy niemieckich. Biegnie z powrotem. Chorzy zostają zamknięci, personel do piwnicy...

- Przepraszam, pytanie osobiste. Ile lat miała pani wtedy?

- Dwadzieścia sześć – odpowiada Janina Sroka.

Pusta kuchnia. Bydło, konie, krowy zabrane. Personel pomocniczy uciekł. Nie ma nic do jedzenia.

- Dyrektor, który był ponadto senatorem, nie postarał się o zapasy. Przecież musiał wiedzieć, co się święci? Mieliśmy tylko mąkę na trzy dni. Płakałam z głodu i chorzy też...

Teolog uśmiecha się gorzko. Dörner kiwa głową, trzyma dwa palce przy ustach. Pielęgniarka mówi dalej:

- Niemcy rozdali po 100 g chleba...

- Ile? – to jest Fryderyk – 100?

- 100 g – powtarza ktoś.

- Przepraszam, czy to było zaraz po tym, jak zaczęła się wojna? Jak nazywał się dyrektor?

- Och, tego nie wiem, tak bardzo się baliśmy, że w ogóle się tym nie zajmowaliśmy. Tu, gdzie teraz jest apteka, stały mózgi dla celów badawczych. Chorzy z głodu zjedli te mózgi i zatruli się, bo były w formalinie.

Wiatr za oknem. Szelest tańczących liści. Herbata stygnie. Goście przestali jeść kanapki.

- Jeśli mogę coś uzupełnić, wtrąca dyrektor szpitala, pierwszym niemieckim dyrektorem był tu niejaki Arld, jego następcą został kupiec Zweck, a potem dyrektorem był urzędnik administracji Alexander Kroll, który pozostał nim do chwili likwidacji szpitala, kiedy SS uznało, że Koberzyn przydatny jest dla celów wojennych.

Janina Sroka:

Zostaliśmy zebrani w sali teatralnej i otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia szpitala, ponieważ chorzy zostaną przeniesieni do Drewnicy. Jedna z zakonnic sprzeciwiła się: „Co, mamy ich zostawić? Będą się źle czuć, będą zrozpaczeni, że są sami”.

A więc Niemcy zezwolili na pozostanie dwóm osobom z każdego oddziału. Ale tak wiele osób nie zostało. Ludzi uciekli, bo bali się, że zostaną zabici.

Wagony stoją przy ciepłowni, to znaczy przy kotłowni. Zapelniają się przywożonym

samochodami ze szpitala ładunkiem: pacjentami chronicznymi. Po oddziałach biegną żołnierze SS w białych kitlach. Przed tym zebrałi karty pacjentów, teraz mówią, że jeżeli uciekanie choćby jeden pacjent, to personel zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

Na moim oddziale – głos siostry Janiny drży – było około 50 chorych. Odliczyli ich po nazwisku. Sześcioro chorych ukryłam w spiżarni. Przyszli z karabinami i powiedzieli, że będą strzelać, jak nie powiem, gdzie schowałam chorych. Szukali w całym szpitalu i znaleźli ich. Ci chorzy prosili na kolanach, żeby ich tu zostawić, że nic nikomu nie powiedzą.

Na sąsiednim oddziale zostało troje chorych. Dwoje z gorączką i Krysia, maturzystka, która w każdym mężczyźnie widziała swojego ojca. Jej własny zginął w tragicznych okolicznościach, co spowodowało u niej wybuch choroby. Gdy Niemcy weszli, powitała ich głosem: „Tatuś!” Rozkazali jej milczeć.

- Tatuś, tatuś! – tłumaczy Fryderyk.

Zapadła noc. Chorych już „ewakuowano”, ale my siedzieliśmy zamknięci w teatrze – głos siostry Janiny oddała się, zamiera. – Potem wyskoczyłam przez okno, bo bardzo niepokoiłam się o los Krysi i pobiegłam na oddział, żeby zobaczyć, co z nią...

Zobaczyłam krew na łóżkach i na ścianach izolatki.

Rano dwa samochody pojechały do Mydlnik po wapno do gaszenia.

Cmentarz w Koberzynie na końcu ulicy z dziurami w jezdni. Po lewej stronie modne nagrobki z plastikowymi kwiatami, na wprost placu (5 x 5 metrów) z obeliskiem. Klaus Dörner schyla się i zrywa niebieski kwiatek polny.

Dr Leidinger zdejmuje okulary i szybko przeciera oczy.

- Co za szczęście – szuka odpowiednich słów – że wtedy nie byłem za nic odpowiedzialny. Bo sam nie wiem, jakbym się wtedy zachował, gdybym nie doznał łaski późniejszych narodzin... Przecież niemal wszyscy nasi profesorowie wysyłali swoich pacjentów do gazu. Żeby Niemiec mógł się dzisiaj poczuć w Polsce jak turysta, musi wiedzieć, co zdarzyło się w przeszłości. Często czytałem u was w prasie dyskusje na temat braku refleksji u moich rodaków. Wstydzę się za nich. Niemiec musi się poruszać po tej ziemi o wiele ostrożniej...

- Żeby nie rozdeptać grobów?
- Tak. Żeby ich nie rozdeptać.
- Jeszcze film „Szpital Przemienienia”.

Widzowie mają jeszcze przed oczyma masakrę, właśnie z ekranu wyrachowani przestępcy, a ziemia masowego grobu pokrywa zastrzelonych i rannych.

Goście stoją jak ogłuszeni, nie mogą wyjść z kina. Nikt nie szepcze, nikt się nie rusza. Docent Ryn drapie się po łysinie:

- Może to zbyt mocne.

Mathias Leipert, dyrektor szpitala w Langenfeld, jakby dla wyjaśnienia swojego szoku:

• Niemieckiemu widzowi trudno jest wytrzymać, gdy widzi postępowanie naszych ojców.

Dwie młode dziewczyny, szukając oparcia, podchodzą do Fryderyka.

Bez słowa gładzi je po włosach.

Hans Stoffels, O niemieckiej tożsamości. Refleksje po pierwszej podróży do Polski. (Über deutsche Identität. Gedanken nach der ersten Polenreise). Manuskrypt nieopublikowany, fragmenty

(1 podróż 1987)

...już podczas podróży, przy przekraczaniu granicy z NRD, podczas powolnej jazdy po betonowej szosie pod stałą obserwacją pograniczników na wieżach kontrolnych, moja beztroska zaczęła się ulatniać. To dziwne, o ile potem w Polsce łatwiej było oddychać. Na jakie wpływy atmosferyczne zostałem wydany? Później, w Krakowie, mój polski gospodarz powiedział mi, że w Polsce nawet w warunkach stanu wojennego żyło się bardziej swobodnie niż dzisiaj w NRD. Uwierzyłem mu, chociaż mnie to irytowało, że mój gospodarz tak radykalnie oddzielał Niemców Zachodnich od Wschodnich, przy czym jasnym było, że jego cała sympatia leżała po stronie tych bardziej oddalonych – Niemców Zachodnich...

Moja irytacja utrzymywała się. Dwa dni później siedzieliśmy w starodawnej, małej sali wykładowej do anatomii fakultetu medycznego w Poznaniu. Słuchaliśmy wykładów. Jako pierwszy profesor anatomii ustanowionego przez nazistów Uniwersytetu Rzeszy działał tutaj Hermann Voss. Dzięki swoim dobrym kompendiom anatomicznym Hermann Voss

jest znany każdemu studentowi medycyny, a teraz słyszę, że po wojnie zrobił karierę naukową w NRD, uzyskując wiele odznaczeń. Ale w Poznaniu przechowuje się jego dziennik, z którego dowiadujemy się, że ściśle współpracował z niemieckim gestapo, co pozwalało mu pozyskiwać ciała straconych... To, co w swoich dziennikach pisze o Polakach, pokazuje go jak najgorszego rasistę, co jednak nie przeszkodziło – jak nam pokazano – w przetłumaczeniu jego kompendiów na wiele języków...

Nasza potrzeba idealizowania tego, co zaistniało w Polsce i nasze dążenie do niepozostawienia na własnym kraju suchej nitki posunęło się do tego, że w każdej restauracyjnej toalecie podziwialiśmy instytucję „babci kłozetowej”, uważając, że w Polsce z pewnością nikt nie jest bezrobotny. Gdy Polacy nas zrozumieli, byli bardzo zaskoczeni i nie wiedzieli, czy mają nas traktować poważnie. Dochodziło do kuriozalnych dyskusji, gdy idealizacja natrafiała na idealizację, a samodeprecjacja na samodeprecjację...

Zdarzało się, że to Polacy zwracali nam uwagę na zalety naszego systemu: na wolne wybory, wolną prasę, wolny handel. A kiedy my obstawaliśmy przy swoim, mówiliśmy o bezrobociu, o zaostrzaniu się wojny konkurencyjnej, o nieścigananiu zbrodniarzy nazistowskich, o złej pozycji chorych psychicznie w społeczeństwie, to Polacy uśmiechali się i zapewniali nas: „Łatwo wam się skarżyć, gdy się wam tak dobrze powodzi”...

Redakcja:

Druga podróż, również śladami pomordowanych pacjentów, kierowana była przez Detlefa Klotza. Pierwsza podróż odbywała się raczej pod hasłem doprowadzenia do otwartości w kwestii naszej wspólnej strasznej przeszłości, towarzyszyli nam w niej dziennikarze i filmowiec, Barbara Lipińska - Leidinger. Natomiast podczas drugiej podróży do Polski powstał pomysł patronatów, albo lepiej – partnerstw – oraz utworzenia stowarzyszenia.

Renate Schernus, Bericht über eine Studienreise in psychiatrische Einrichtungen Polens. (Relacja z podróży pogładowej do instytucji psychiatrycznych w Polsce). Manuskrypt nieopublikowany, fragmenty (24.07.1989)

„Wstydzę się, że po wojnie zajmowaliśmy się głównie zbrodniami dokonanymi na polskiej ludności. Dopiero dzięki grupie Niemców, która przed dwoma laty była w Polsce, dowiedziałem się, że nazisci wymordowali także niezliczoną ilość niemieckich chorych psychicznie. Uświadomiłem sobie na nowo, że we wszystkich tych przypadkach chodzi po prostu o ludzi, i że narodowość jest nieważna”, tak mówił były prokurator Marian Kaczmarek z Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich.

Gotowość do pojednania oraz opowiadanie się po stronie szeroko pojętego humanizmu ponad przepaścią nieodpokutowanych, niewyznanych, głęboko wypartych zbrodni – na taką postawę napotykaliliśmy podczas naszej dziesięciodniowej podróży u niemal wszystkich naszych rozmówców...

Dzięki tej podróży z pewnością lepiej i głębiej zrozumieliśmy kontekst historyczny. Ale też z zainteresowaniem obserwowaliśmy tendencje w polskiej psychiatrii współczesnej. Każdy szpital psychiatryczny w Polsce pracuje w ściśle określonym rejonie. Wyraźnie widać wysiłki w kierunku zapewnienia opieki ambulatoryjnej. W Krakowie działają także liczne oddziały dzienne dla najróżniejszych grup pacjentów. Widzieliśmy np. sprawiający bardzo dobre wrażenie oddział dzienny, całkiem niepozornie umieszczony w bloku mieszkalnym. O ile dobrze zrozumieliśmy, psychiatryczna opieka domowa jest rozbudowana bardziej niż u nas. Interesujące było także to, że w małych zespołach ambulatoryjnych oprócz pracowników socjalnych i zwykłych u nas grup zawodowych, pracują także adwokaci. Oczywiście ogólna bieda panująca w Polsce ogranicza mocno te wysiłki. Zobaczyliśmy to wyraźnie, zwiedzając różne instytucje dla pacjentów chronicznych. W szpitalu w Kobierzynie (dzisiaj im. Babińskiego, uwaga redakcji) przebywa np. 120 mężczyzn na jednym oddziale, który był zaplanowany na maksymalnie 30 osób. Widok tych ludzi, którzy muszą żyć w tak marnych warunkach i relacje przeciążonych obowiązkami pracownic (w ciągu dnia najwyżej dwie na dyżurze, w nocy jedna) były dla nas nie do zniesienia. Przed wojną Kobierzyn był jednym z najbardziej nowoczesnych szpitali...

Wiele osób z naszej grupy zadawało sobie pytanie, czy miałoby odwagę na ponowną

podróż do Polski, zanim RFN da znak gotowości do moralnego, materialnego i politycznego zadośćuczynienia, co było szczególnie oczekiwane 01.09.1989 (50. rocznica wybuchu II wojny światowej).

Głęboko wstydziliśmy się, przeżywając takie zdarzenia, jak to: Pewien taksówkarz w Krakowie, który – gdy jednego z uczestników naszej grupy zidentyfikował jako Niemca - powiedział, że gdyby się wcześniej zorientował, nie pozwoliłby mu wsiąść. Podczas rozmowy, możliwej tylko dzięki polskiej współpasażerce, powiedział, że „Niemcy” stale przepędzali go z trotuaru. Jego rodzina została wymordowana. A on, mając 68 lat, żyje samotnie i jeździ taksówką. Myślę, że mówił w imieniu dużej części polskiego społeczeństwa”.

Fragmety przemówienia przewodniczącej Zgromadzenia Krajowego Westfalen-Lippe, pani Ursuli Bolte, wygłoszonego z okazji założenia Niemiecko-Polskiego Towarzystwa Zdrowia Psychicznego w Erbdrostenhof w Münster 27.10.1990

Droga do sąsiada

Szanowne Panie i Panowie,

Wszyscy Państwo, którzy zebraliście się dzisiaj w Munster, przebyli długą drogę. Nie tylko goście z Polski, którzy niestety musieli się borykać z licznymi trudnościami, aby otrzymać wizę wjazdową, ale wszyscy zebrani wybrali się na trudne spotkanie z sąsiadami.

Mam na myśli sąsiedztwo polsko-niemieckie, które od przynajmniej 150 lat jest istotnie trudne. Klęska demokratów w 1848 roku była równocześnie klęską tych wszystkich obywateli Polski i Niemiec, którzy wspólnie opowiadali się za wolnością „Naszą i Waszą”.

Dziś, mimo wszystkich błędów i przelewu krwi przychodzą mi na myśl czasy wspólnego dążenia do pokoju i wolności. Nasza wspólna historia zna przecież liczne przykłady udanego sąsiedztwa. Zmiana polityczna, która zaistniała po klęsce rewolucji 1848 roku wniosła w stosunki niemiecko-polskie nieznaną przedtem wzajemną nienawiść. Później przejawiało się to po obu stronach jako nacjonalizm i rasizm.

Eskalacja sprzeczności niemiecko-polskich miała wiele etapów pośrednich, a swo-

ją kulminację znalazła w napaści 1 września 1939 roku. Doprowadziła do powstania wynaturzeń narodowosocjalistycznej polityki wobec Polski a w końcu do Oświęcimia. Nigdy wcześniej skutki niezrozumienia i nienawiści nie były tak straszliwe. Ich ofiarą padli nie tylko Żydzi i Polacy, ale ludzkość w całości. Odpowiedzialność za to ponosimy my, Niemcy.

Nie minął jeszcze rok od czasu, kiedy na konstytucyjnym posiedzeniu parlamentu krajowego uznaliśmy pierwsze partnerstwo między szpitalami psychiatrycznymi w Gnieźnie i Gutersloh. W międzyczasie nawiązały współpracę Warta i Lengerich, Tworki pod Warszawą i Dortmund, Bethel i Kraków. Swój akces do współpracy z Krakowem zgłosiła już klinika z Bochum.

Partnerstwa, których rozwój zapoczątkował Pan minister Nesekeer w czasie pierwszej wizyty w Polsce w 1989 roku, osiągnęły niezwykły sukces. Oprócz realnej pomocy w po-

szczególnych przypadkach należy podkreślić bezpośrednią wymianę pracowników zaangażowanych instytucji. Wymiana ta pozwoliła zdobyć ważne doświadczenia oraz jest źródłem istotnych i wartościowych inspiracji. Jednak przede wszystkim jest kanwą, na której odbywa się rozwój koleżeńskich stosunków i wzajemnych przyjaźni. W czasie, kiedy zrobiono pierwsze kroki na tej drodze nikt nie mógł przewidzieć zmian politycznych, które nastąpiły w Niemczech w zeszłym roku. Nowa sytuacja w stosunkach niemiecko-polskich jest jeszcze bardziej złożona od czasu zjednoczenia Niemiec. Jest wyzwaniem dla każdego, kto odpowiedzialnie rozumie tę szansę na stworzenie dobrego sąsiedztwa.

Droga z zachodu na wschód, ze wschodu na zachód, ma swoją zmienną i trudną historię. To jest droga z Polski do Niemiec i z Niemiec do Polski. Ta sama, na której Państwo się spotkali – droga do sąsiadów.